

# KAMENA

MIESIĘCZNIK  
LITERACKI

ROK V

NR 5

**MIESIĘCZNIK LITERACKI****STYCZEŃ 1938 R.**

## TREŚĆ NUMERU PIĄTEGO

ADAM SZCZERBOWSKI	Bolesław Leśmian	. str. 81
STANISŁAW WYGODZKI	Poemat zimowy	. „ 83
STANISŁAW BĄKOWSKI	Niedźwiedz niebieski	. „ 86
LUDWIK ŚWIEŻAWSKI	Grottger	. „ 87
JANINA BRZOSTOWSKA	Skrzydła nocy	. „ 88
TADEUSZ ZELENAY	Za Niemen	. „ 88
JERZY GIEYSZTOR	O matce	. „ 89
MIECZYŚLAW LURCZYŃSKI	La commune de Paris	. „ 89
WACŁAW MROZOWSKI	Wiersz o śmierci	. „ 90
JÓZEF ANDRZEJ FRASIK	Siwe konie	. „ 90
STEFAN SZAJDAK	Pierwszy wieczór	. „ 91
PAWEŁ HERTZ	Rozmowa z cieniem	. „ 92
SEWERYN POLLAK	Taniec śmierci	. „ 94
MAKSYMILIAN WOŁOSZYN	Pochodnie Paryża	. „ 96
	Kronika słowiańska	. „ 99
	Noty	. „ 100

Wkładka linorytowa ZENONA WAŚNIEWSKIEGO

Redaktor: Kazimierz Andrzej Jaworski, Chełm Lub. Reformacka 43.

Przyjmuje w poniedziałki od 15 do 16-ej.

Wydawca: Zenon Waśniewski.

Administracja: Chełm Lub., Reformacka 43

Redaktor odpowiedzialny: Wawrzyniec Berezeci.

Redakcja i administracja w lipcu i sierpniu nieczynne.

Prenumerata roczna (10 numerów) 5 zł., półroczna (5 numerów) 2 zł. 50 gr.  
 Należność uiszcza się zwykłym przekazem lub przekazem rozrachunkowym.  
 Numer okazowy „Kamena” wysyłamy tylko po uprzednim nadesłaniu 60 gr. przekazem lub w znaczkach pocztowych.

CENA NUMERU POJEDYŃCZEGO 60 gr.

Tłoczono w drukarni „Kultura“ Chełm Lub. 10.



# K A M E N A

## MIESIĘCZNIK LITERACKI

---

---

ROK V

STYCZEŃ 1938 R.

NR 5 (45)

---

---

BOLESŁAW LEŚMIAN

1878—1937

Pieśń „od wnętrza zieloną, a po brzegach kwiciatą“ wyśpiewał upiór dębowy samemu Bogu, kiedy zstąpił do wiejskiego kościoła na wysłuchanie jej i pogrążenie się w niej swą bezkresną duszą i swym bożyściejącym jestestwem. Pieśnią od wnętrza zieloną, bo zieleń to symbol bytu samego w sobie, niepoznawalnego pod pianą zjawisk, pieśnią zatem pełną metafizycznych dociekań, mitotwórstwa i zamyśleń nad istotą świata i rzeczy, a zarazem kwiciatą, bo strojną w niebywały przepych słowa, barwy, kształtu i dźwięku, jest twórczość Bolesława Leśmiana w okresie najwyższego jej szczytu, kiedy tworzył Łąkę, największe osiągnięcie artystyczne polskiej poezji powojennej. To, co ją poprzedza, twórczość lat młodych, zebrana w ogłoszonym przed wojną Sadzie rozstajnym, jest jeszcze dość ścisłymi węzłami związane z okresem, w którym powstało, a więc z okresem Młodej Polski, dobą symbolizmu i mordenizmu, w szczególności z miriamowską kaplicą czystej sztuki, z Chimera i jej programem artystycznym. Ale i tutaj już nawet, po głębszym wniknięciu w nie dość może jeszcze skryształizowaną ale odrębną postawę poetycką Sądu rozstajnego, ujawniają się zarysy konstrukcji poetyckiej późniejszej Łąki, jedynie talent poetycki Leśmiana okrzepnął potem znakomicie, koncepcje metafizyczne nabrały wyrazistości i spoistości, jednocząc się przy tym w swą istną całość, dla której odrębność treści i formy przestaje istnieć, bo rozplywa się w harmonijnym zespole wszystkich czynników, składających się na jedność dzieła poetyckiego: z językiem, ze stylem, z owym przedziwnym słowotwórstwem Leśmiana i pełnią ekspresji poetyckiego wyrazu.

W Łące zatem dopełnia się całkowicie świat poezji Leśmiana, a jest to świat mitu, wyłoniony z kopulacji realizmu tęgiego, okrzepłego, umięęcego słowem twórczym wszystko wyrazić, uwypuklić, udźwięćnić z myślą nastawioną na istotę bytu, na proces mijania, na fantomy kategorii czasu i przestrzeni, na rozdział i rozgraniczenie bytu i niebytu. Wędruje więc poeta topielec zieleni—„z obłoków w obłoki“, bowiem „zapraęnął w niecierpliwej żałobie zwiedzić duchem naprzelaż zielen samą w sobie“.

Ale jest jeszcze drugi aspekt tej twórczości, zapatrzoney w niepojętość wszystkoobejmującej zieloności. W świecie zjawisk i rzeczy mieszka wszak niepojęte, skurczem rozkoszy oszołamiające szczęście człowieka, szczęście każdej bytującej istoty, szczęście pełne piękna, bo bogactwem form i przepychem barw, kształtów i dźwięków, roi się świat zjawisk, ale i grozy, bo je lada moment może skrócić śmierć, czyhająca pod każdą niemal jagodą, śmierć, w której stronę popycha istność każdą irracjonalna, ślepa żądza przemian. I oto z tego aspektu na świat, z tych rozległych perspektyw życia, śmierci i bytu wyłania się wspaniała operująca wszelkimi środkami dostępnymi poecie, dla którego słowo jest naczelnym środkiem ekspresji artystycznej, deskrypcja świata, wszechstronna, niebywale bogata opisowość Łaki.

Niektóre z cech głównych Łaki nabierają jeszcze większego znaczenia przy rozważaniu Napoju cieniowego, ostatniego za życia ogłoszonego tomu poezji. Nad innymi bowiem motywami, nad innymi pomysłami i wątkami panuje i w Napoju cieniowym świat mitu, mitotwórstwo, demonologia poety, który przekształca w szeregu poematów dawne, lub tworzy nowe mity. I tu także metafizyczna myśl poety chce się przedrzeć poza dostępne ludzkiemu myśleniu kategorie, ale czyni to z jeszcze większym natężeniem, pragnąc przedostać się tam, gdzie jest „możliwość innej jawy niż jawa istnienia“, nieochrzczona słowem czy pojęciem, bezczłowiecza bezdeń, pozarealność. I tu także z większą tylko wyrazistością poeta tworzy pod obsesją czasu, pod perseweracją mijania i tutaj też geneza fascynującego, uroczego słowotwórstwa poety, ów zaborczy, zachłanny stosunek do słowa skonfrontowanego najściślej z treścią pojęciową, którego samoistność, samowystarczalność, pełna fautonomiczność znamionuje najdobitniej swoistą, osobliwą postawę poetycką Leśmiana. I jest jeszcze jeden przedziwny zarysowany już w Łące, ale w Napoju cieniowym zdecydowanymi liniami wyznaczony horyzont tego ostatniego etapu twórczości wielkiego poety. Życie osob-

nicze człowieka w miazdze okalającej je rzeczywistości trwającej, cykl istnienia musi się dopełnić. Tragizm osobniczy bytu jednostki, tragizm skończoności, śmierci i zatruty wyraża się tutaj dwoma ewentualnościami rozwiązań. Czyżby życie za grobem? Błahe, szare, wypełzłe i coraz bardziej zatracające się istnienie świadomości z jałmużny doznań ziemskich, świat zagrobowy, cmentarny? Cierpkim humorem, swoistą groteską odznaczają się wiersze zrodzone z takiego ujęcia śmierci, poezje, tchnące wonią kwiatów cmentarnych, wieńców nagrobnych, palących się świec, butwienia i gnicia. Ale droga od tych przejmujących o śmierci rozważań wiedzie jeszcze indziej i że tak rzec wyżej. Wobec wiekuistego, nierozwiązalnego, powszechnego a tym samym nieistotnego tragizmu śmierci—tragizm jest stanem wyjątkowym—może narodzić się humor ostatecznych przewyciężeń. I rozwiązuje się zawiązana tragicznym węzłem historia dwóch Maciejów—w ostatnim poemacie przedśmiertnego zbioru—w komedię ostatecznego zwycięstwa przez śmierć:

„Rzekł jeden: Noc nadchodzi. A drugi rzekł: Dnieje.“

— — — — —

Tak zatem dwoma możliwościami rozwiązań: nocą i dniami zamyka się wspaniała twórczość poetycka Bolesława Leśmiana, jednego z największych poetów polskich, poety, jak trafnie zauważono w jednym ze wspomnień pośmiertnych, absolutnego, jednego z najdoskonalszych oddaleńców, od którego nikt lepiej, a mało kto równie pięknie, potrafił wyrazić to niepojęte szczęście, jakie mówiąc Jego słowami spływa na człowieka, kiedy „dłonią Boga szukającą natrafi na gniazdo ptasie lub kwiaty jaśminu“.

ADAM SZCZERBOWSKI

## POEMAT ZIMOWY

Zamieć i zawieja. Grudzień już zawiewa.  
Otwórz wrota stajni. Za nimi parska koń.  
I cienie to na ziemię, to kładą się na drzewa,  
tupocą ciężkie buty i ciężka szczeka broń.

To snom już nie zawierzam i nocy tej nie ufam —  
za nocą są okopy, a za nimi mrok.  
A gałąź jeśli tkwi tam, to groźna tak jak lufa  
i ten, co za nią mierzy, odbija mocny krok.

### I

Na szlakach śniegu zasy. Głęboko koń zapada.  
Przystaje. Łbem potrząsa. Na chwilę ruszy stępa.  
Znów staje. Rzemień szarpie. Pod śniegiem drogę bada.  
Po śniegu cień przepływa — groźny obraz sępa.

Ten obraz jeden truje. Tym widmem na bezkresie  
niewytyczonych szlaków przebrnąłem i po śniegu

lodowy wichur sunie, nim świstem się uniesie.  
I braknie w wierszu miary, gdy ten zabraknie szazegół.

Miał żywot swój powszedni ten koń, co teraz wzrusza.  
O jeźdźcu cóż powiedzieć? Miał też powszednie życie.  
Lecz kiedy? Dawno temu? Kiedyż to wyruszał  
z domostwa i na drogę znak może czyniąc skrycie?

A może konia dosiadł w ciężki czas mozołu  
i zasnął. I tak zamarzył. Koń później z drogi zбочzył  
i sęp, co nad nim krąży, z twarzy jak z popiołu  
wyszarpał czarne węgle — zagasłe w wichrze oczy.

Ten obraz napotkacie. Nie będzie to sen wieszczy  
wśród nocy, która pierzcha jak pejzaż wśród podróży.  
Zmęczony przez sen krzyknie. Trwożliwy spyta: jeszcze?  
W malignie chory bredzi: co taki obraz wróży?

## 2

Zmęczony przez sen krzyknie. Pamięta jak wytrwale  
popędzał w nocy konia. Lecz droga nikła w wichrze  
i kiedy mu się zdało, że koń pomyka w cwał, wale,  
zanikał tupot kopyt. I tupot coraz cichszy.

A potem już popłynął i nawet ślad zaginał.  
Szybował ponad polem jak śniegu lekkie płatki.  
Był wesół i smakował wypite dawno wino,  
już zaraz mury będą, opłotki i rogatki.

Wnet wejdzie do apteki. Gdy spojrzy na jej szyby,  
za oknem ujrzy butle barwione wyraziście.  
Na szybach kwiaty kwitną, leniwe płyną ryby  
trącając sennym ruchem na dnie wyrosłe liście.

Gdy wejdzie, rzeknie szybko: przybyłem mimo burzy  
i śpieszno mi do domu. Tam chory został synek.  
I jeszcze krótkie zdanie z wichury się wynurzy:  
dajcie aspirynę.

Już wraca. Stokroć prędzej. Koń nie zwalnia biegu.  
Na niebo księżyc wpłynął i podąża żwawo.  
Przez chwilę go wyprzedził, potoczył się po śniegu  
i wyrывa w niebo złotych gwiazd kurzawą.

Nie widzi, lecz przeczuwa, że to brzask poranku  
uderzył w senne oczy i dlatego boją.  
I słyszy: chory bredzi, zą szybą, za firanką  
i jeźdźca wypatruje i szuka go po polu.

A jeśli koń nie wróci i nie przybędzie w porę,  
unosząc w siodle jeźdźca, co burzę przebył w znoju  
i jeśli umrze dziecko, co teraz czeka chore —  
to myśl ta będzie obca. Ta myśl nie będzie moją.

## 3

Trwożliwy spyta: jeszcze? A przecież próg przestąpi  
i wyjdzie w noc samotną. W pobliżu nie ma ludzi.  
Za progiem snu i nocy jest tylko ktoś, co wątpi,  
a nie ma właśnie tego, co ze snu obudzi.

Nie czuje tego teraz. Po śniegu brodzi długo  
i węższy stronę świata pod wiatrem, co łomocze.  
I ślad pozostawiony niepewną biegnie smugą  
i tylko wichur pewny i tylko mróz i noce.

Nie będzie brzasku jutrzni i mroki się nie zetrą,  
bo tylko noc wieczysta na granicy ciszy.  
Podąża zwolna zegar. Nad szkiełkiem barometru  
zasnuty mgiełką oddech. Ciebie wolno się kołysze.

Ten cień podarły wichry. Bo jeszcze szybkość wiatru  
potrzebna biuletynom, sterowcom, samolotom.  
Wychodzi w noc samotną — samotny widz z teatru  
na śnieg i noc i wicher, skąd nie ma już powrotu.

Co rzekłem! Musi wrócić! Na krańcu stojąc świata  
już nie o wielkość swoją spór toczy. Choćby zginął.  
Bo kiedy znikną mroki, zasrebrzy się poświata,  
zostanie. Wesół będzie. Wypite dawno wino...

Wieczysty dzień nastanie. Znów ujrzy własne ślady.  
Podąży za tą smugą igliwia lśnienie i mrozu.  
Ma teraz swoje mają — być muszą listopady,  
tak świt się wiąże z nocą, jak z nitką zwój powrozu.

A jeśli już nie wróci? A jeśli zamiast trunku  
smakować będzie ciemność, nie znajdzie drogi w znoju  
i naszym samolotom nie poda nikt meldunku —  
to myśl ta będzie obca. Ta myśl nie będzie moją.

#### 4

W malignie chory bredzi. Wyrzywa się bandażom.  
Nie pora spocząć jeszcze. Tam pójdzie, gdzie go wzywa  
rozdarty bruk stolicy — rozdarte usta w twarzach,  
szumiąca Manzanares, burzliwa, ciemna, krzywa.

Raz jeszcze tam pośpieszy. Wzdłuż brzegu. Brodzi wodą,  
zbełtaną ciężką falą, co smutnym świeci blaskiem.  
Wiatr wyje, mrozem ścina, wirami rwie do spodu,  
lecz stanie tam, gdzie trzeba przed śniegiem i przed brzaskiem.

Na śniegu ślad głęboki. Poza granicą śladu  
szyderstwo czyha zimne, pogardy czeka pościg  
i ryje kulomiotów to w górę to znów na dół  
mrozącym patrzą okiem. A tam bieleją kości.

Na brzeg wysoki wejdzie. Przez cmentarz złej nadziei,  
gdzie pieśń podarta żyje i w strzępach niezwalczona.  
Przekroczy tę granicę, co niknie wśród zawiei,  
i świat niewytyczony zamyka w czterech stronach.

Już wzgórze widzi małe, przyjaciół, z nimi gada,  
podaje papierosa, dostaje ładownicę.  
Niedawno odszedł w ranach. Był koniec listopada,  
mgła gęsta, zmierzch zapadał. Znów trafił na śnieżyce.

Lecz teraz pozostanie. Śnieg się kłębamii miota  
na miasto, na przedpole, na cmentarz niecmentarny.  
I łamie się i gubi zduszony w kulomiotach  
cierpliwy głos żelaza, tak krwawy, że aż czarny.

A jeśli z mgły maligny nie wróci choć na chwilę  
na szaniec, do okopów, wolności bronić w znoju  
i skona i bez marzeń spocznie w swej mogile —  
to myśl ta będzie obca. Ta myśl nie będzie moją.

#### 5

Zmęczonym. Oczy bolą. Odeszła noc niespana.  
Zaduma pozostała. Odpoczne jeszcze chwilę.



I myślę: co zostało z nocy tej do rana  
i z tego, co napisał niejasno i zawile.

Za oknem śniegu zaspy. Zamieć i zawieja.  
Marzenia porzuciłem. Odszedłem od urojeń.  
I noc odeszła czarna. Niepewnie teraz dnieje  
i świt podejodzi do mnie dwojga szyb wykrojem.

I patrzy w moje rano grubą warstwą lodu,  
zawiłą gęstwą linii, rysunkiem bladych krzewów  
i wicher, co się przedarł od samego spodu,  
pieśń zimową śpiewa.

STANISŁAW WYGODZKI

## NIEDŹWIEDŹ NIEBIESKI

Niedźwiedź niebieski w czasie pędzący obłokach  
ciągle mnie straszy głuchym pomrukiem:  
w przednich łapach jego—mord,  
żądzą zdeptania drżą drugie.  
Oto cień, jak cień góry zaborczy,  
gna za mną po drogach i polach.  
Oto nagle przede mną huk i trzask:  
grad kamieni porwanych z dzikich gwiazd;  
albo bryźnie pod niebo słup ziemi,  
piaskiem zasypując oczy.  
A gdy spojrzę wstecz, to zdaje mi się, że z góry  
lada chwila jak szpony kondora  
runą na mnie ciemne pazury.

Niedźwiedziu, na co te zabiegi wszystkie?  
Wielkie oczy strachu krótko żyją,  
a gdy skonają,—bywa—  
śmiech jak gejzer tryśnie...  
Groza—zaćmienie słońca—i z nieba  
spadający drapieżny chwyt?...  
Chcesz, to się upieraj, ja powiem jedno:  
Niebieskim jesteś niedźwiedziem zbyt,  
nie zstąpisz na ziemskie wertepy.  
A gdybyś nawet dziwnym trafem  
zdołał mnie dosięgnąć,  
przed czasem nie triumfuj lepiej—:  
jeszcze może  
poznasz mnie twardym jak orzech;  
jeszcze kto wie, czy z gniewu o słońce  
łap ci nie przetrączę.

STANISŁAW BĄKOWSKI

Lata żegnają odchodząc wrośnięty drzewa rodowód—  
 dziś znowu zachód słońca  
 wśród innych minął zachodów.  
 W miedzianych chmur otoku  
 sosna się chyli,  
 tu przychodzili...  
 Gdy słońce w krzewach ugrzęźnie  
 za złotoowocnym sadem,  
 pochyła od czerwców i wrześni  
 sosna gędzi balladę...

Od lat się szczybią pługi krające korzenny teren  
 —miłość się z szczęściem hołubi,  
 spotkało się szczęście z Grottgerem.  
 Ballada wyśpiewa dzień biały  
 purpurą tętniący jak serce,  
 wszystkie słowiki kłaskały  
 w czerwcu.  
 Noc zmierzchem na zieleń prószy,  
 konary się chylą i chylą  
 —życiem był sosny pióropusz  
 a życie było chwilą.  
 Niech czar wraca i rozkwieci wiosnę  
 płonąć słoneczną luną.  
 —Geniusz gałęzie osnuł  
 szumiące miłosnym zadumom...

Nim zetli się do cna płomień  
 w oczu serdecznych troskach,  
 zabyśnie na szarym kartonie  
 jej twarz, tak piękna jak Polska.  
 -- gdy znak zciszy świerszcze we dworze  
 noc się w parku uczyni,  
 drzwi modrzewiowe otworzę  
 i pójdę z Dynisk.  
 — —Krew z śniegiem znikła bez śladu,  
 w lasach ucichła pieśń boju,  
 chodźmy na ten łez padół,  
 kometo niepokoju — —

## SKRZYDŁA NOCY

Inaczej schodzi noc na gwarne miasta,  
a inaczej na chaty, sioła bez nazwiska —  
ciemnością je otula, głuszą w niebo wrasta,  
i w światła okien patrzy, pochylona, z bliska.

Dla miasta — jakże obce jest jej ciche przyście  
i jakże odmienione w pomroce zaułków,  
do których nie dociera stróżujące lśniście  
światło lamp albo okien baru „Pod Jaskółką“.

I w środmieściu nie lepiej. Tam ktoś spisek ukuł:  
chcą rozerwać jej skrzydła, pachnące snu makiem,  
gęstwiną złotych światel, jak strzałami łuków  
godząc w nie. Zapomnieli, że noc nie jest ptakiem —

Długo w gwarnych ulicach butnie i uparcie  
kwitną w niebo protesty płomienistych liter  
ulewą rozkrzyczanych, kolorowych światel — — —  
lecz nie ważą się równać z słabym, pierwszym świtem.

Bo i świt, i noc sama, i każdy z dni naszych  
skrzydłami są wieczności, co nas w siebie garnie,  
i naszemu mijaniu, jak przelotom ptaszym  
przechwalać się pozwala i puszyć — bezkarnie.

JANINA BRZOSTOWSKA

## Z A N I E M E N

poświęcony piosence

Schodzą piosnki szeroką traw szumiących oddalą,  
W okna stogów różowych napływają szelesty,  
Kiedy panny stęsknione od zagajników malin  
Powracają samotne, bolesne.

Gasną maków płomienie, gwiazdy wschodzą nad ziemię,  
Srebrne podków księżyce jak srebrzyste drżą ptaki,  
Gdy daleko odchodzę, gdy odchodzę za Niemen  
Z moim cichym, cierpliwym rumakiem.

Żal zostawiać za sobą fioletowe wieczory  
I łąn wrzosów i panny samotne,  
Co już więcej nie słyszą kołatania tych podków.  
Gdy mój koń w nocy schodzi kolory.

Więc za Niemen, za Niemen, od ścian białych najdalej,  
Od drzew fali szumiącej, od chabrowych wieczorów topieli.  
Moje panny samotne błędzą śpiewne wśród malin  
W księżycowej zieleni i bieli.

TADEUSZ ZELENAY

## O MATCE

liryka niejasna  
okno zasmucone mrokiem w podwórzu to grają  
a ty widzisz łąka zielona koniczyną miedzą  
hyca zając

ach z nieba  
matczynego włosa prószy śnieg  
i już trudno nie ma jej  
jest za to dość ognistej burzy  
miłość warg spadających urokiem wróży

a przecież trzeba tak nucić  
że smutno łyzy ból przetoczą  
jeszcze pamiętam w szpitalu cicho  
sfrunęły jaskółki oczy

nie bój się o henryka  
chorobę chowasz ciężkie sny  
popatrzeć było twarz w promykach  
twój syn i syn i syn

JERZY GIEYSZTOR

## LA COMMUNE DE PARIS

(1871)

Dźwięk metaliczny przedmieść —  
Wzniósł się i spadł nad brukiem złoty błysk oskarda—  
Kurz w słońcu słupem drży i rzednie —  
Milczą w wilgotnych sieniach zielone oczy kotów —  
Kamienie lecą z rąk jak złoto ziarn z omłotu—:  
To barykada—tarcza komunarda.

Ulic Bayardom,  
Idącym pod chrzęst szubienic ołowianym krokiem,  
By szpady złamanej gardą  
Ostatni rzut zwycięski przeciwstawić śmierci,  
Gromnicznych latarń rząd wysoki  
Płomieniem świecił.

Gdy łun różowych świt dymem dogasał,  
Ulicom ślepym drżały okien łyzy,  
Słońcu naprzeciw, bez hoplity pasa,  
Czerniał ogromny trup Leonidasa—:  
La commune de Paris.

MIECZYŚLAW LURCZYŃSKI

## WIERSZ O ŚMIERCI

Na ziarnach piasku dzieci tańczą w rytm  
sinych obłoków—nućąc  
w jasnych firankach.

Gorące noce jedwabiem pieką,  
podchodzi palący świt  
i znów chłopcy z wojenki wróca,  
rozśpiewają się w bladych porankach  
daleko...

Zmierzchy w noce, noce w świty biją  
w oknie błyska podczerniona brew —  
tam pod borem żołnierz wianek wije  
i wplata w miedziany śpiew—  
brzęk tłuczonych o kraty rąk —  
rdzawych dachów grzmot—  
święty uśmiech —

Udem ścieka gorąca krew  
i znów płynie muzyczny śpiew:  
„Hej, dziewczyno,  
nie uśniesz,  
nie uśniesz“...  
a piosenka miedziana i krew  
płyną...

Zmierzch już sypie garściami pył  
szklą się zsiniałe źrenice,  
płomyki złote błyszczą w oknach chat,  
choć wrota się wszystkie zawarły...  
—dłoń śniadą pochwycę  
Marychno  
i przytulę do piersi umarłych  
niech cichną,  
ucichną...

WACŁAW MROZOWSKI

## SIWE KONIE

Za wystawą „sklepową“ trumienki  
na kształt mojej lirenki:  
ta sosnowa,  
ta modrzewiowa,  
ta zdrowa dębowo dzwoni —  
tylko jednej tu nie ma: wierzbowej trumienki.

Odjeżdżali ze wsi jak mogli,  
lecz zawsze tłumnie się wieźli:  
ci karawanem, ci na wozie,  
ci przy płaczącym narodzie,  
drogami, po kamykach, po roli  
stukały trumienki cieśli.

Tylko jednej wierzhowej,  
z szumu utkanej,  
nie wystawili przed sień  
jesiennym ranem.

Zajechali: białe konie, białe koła,  
biały wóz...

Gubili słowa. Łzy.

A tu za nimi —

drogami szedł za nimi i wołał  
wierzbowy smutek brzóz.

JÓZEF ANDRZEJ FRASIK

## PIERWSZY WIECZÓR

Drogo przez las —  
zasłana w ten wieczór wonią kwiatów i szumu,  
nutami ptaków i dalekich sosen:  
o, mowo drzewnego głumu —  
wciąż pachniesz mi świeżo, jak Twoje oczy radosne i włosy.

Wciąż grasz,  
drogo piękna i tęsknoty.

Lecz pamiętasz ów moment złoty,  
gdyś kołysana niepokojem  
po zorzach kwitła na skraju lasu,  
nad piaszczystym źródłem?

Dziewczyno w białym berecie:  
oj, moment już się w zorze zanurzył—w noc odleciał—  
lecz wciąż czuję ciepłe ręce oddane i dobre spojrzenia,

Chwilo szczęśliwa, jak wówczas w nas  
grasz ?

Wiem: tyle masz dzisiaj myśli, ile śpiewu i szumu las;  
wiesz: jak korony wieczorne przyjaźń się rumieni.

Wtedy na skraju drzew, na jakim brzegu  
dziś w strofach kwitniesz? Dni czaru nie umrą.  
Módl się za pieśni moje,  
módl się za pieśni moje,  
podpieraj serca kolumną!

I pomyśl—stajesz się wierszy serdecznym chlebem.  
Moja panno dobra, wszystkie winy mi przebacz!

W poezję i radość przepłyną  
chwile czaru dziewczyno, dziewczyno.

STEFAN SZAJDAK

## ROZMOWA Z CIENIEM\*

(Szkic krytyczny)

Nie jest bynajmniej przypadkiem, że poniższej próbie oceny dwu ostatnio wydanych książek Stefana Napierskiego, nadałem tytuł, którym już sam autor opatrzył jedną ze swoich prac.

Działalność literacka (poetycka i krytyczna) Stefana Napierskiego jest, niestety, poza sferami czysto literackimi prawieże nieznaną, a w sferach tych od wielu lat przechodzi bez echa. Składają się na to zarówno nienormalne warunki pracy literackiej w Polsce, ogólny niski stan kulturalny oraz, i to jest najcharakterystyczniejsze, brak związków organicznych naszej poezji współczesnej z Zachodem. I najbardziej może depopularyzuje pracę Napierskiego to ostatnie: partykularyzm kulturalny naszej młodej i najmłodszej generacji poetyckiej.

Może żaden z wybitniejszych współczesnych pisarzy nie ulega tak silnie prądom Zachodu, a ściślej poezji francuskiej i niemieckiej, jak Napierski. Jeżeli jednak mówię „ulega“, to nie w znaczeniu podlegania wpływom czy filiacjom, a jedynie w znaczeniu pokrewieństwa, odnalezienia własnych konstrukcyj w budowlach stawianych przez innych architektów na przestrzeni ostatniego półwiecza. Bo parantele poetyckie Napierskiego zaczynają się od chwili formowania się antinaturalistycznych haseł, a więc od symbolizmu, by wreszcie we współczesnej liryce francuskiej i niemieckiej odnaleźć bratnie tonacje. Na te pokrewieństwa z wyboru (Wahlverwandschaften) wskazuje praca przekładowa Napierskiego, przede wszystkim studia o literaturze francuskiej i dwie antologie przekładów z niemieckiej i francuskiej liryki. Tłumacz nie wychodzi w tych pracach poza wiek XIX i XX, uwzględniając w pierwszym jedynie wspomniane przeze mnie prądy z dodatkiem romantyzmu, ale nie bojowego, byronicznego, tylko romantyzmu sielankowego, elegijnego, rustycznego.

Napierski jest może najbardziej nowoczesnym, najbardziej odpowiadającym współczesnym wymaganiom, jakie stawiamy poezji, pisarzem. W każdym razie jest najbardziej samotnym. W dzisiejszej epoce klik i koteryj jest to fakt znamienny.

Jakież są więc konkretne przejawy tej literackiej samotności Stefana Napierskiego? Odpowiedź na to pytanie znajdziemy w obu niedawno wydanych książkach tego autora. Pierwsza z nich—tom wierszy p. t. „Elegie” i druga, zbiór uwag i drobnych poematów prozą pod znaczącym tytułem „Próby“, to przykłady prawdziwej poezji i aforystycznego, epigramatycznego essayu (mówię tu o „Próbach”).

Zajmijmy się z początku wierszami. Zaznaczam, że to, co piszę, nie ma charakteru recenzji lub wydawania poecie patentu doskonałości i talentu. Chodzi mi o uwypuklenie tych cech poetyki Napierskiego, które uważam za ważne dla młodej generacji, tych metod i tej techniki, którą uważam za pionierską, tych wreszcie wizji czy obrazów, które charakteryzują poetę, stwarzają niepowtarzalny, trudny przez to do sprawdzenia, klimat wewnętrzny wiersza,

„Elegie“, jak to wskazuje sam tytuł, mają charakter wspomnieniowy. To byłby rys zasadniczy, specyficzny zresztą dla poety w ostatnich jego książkach. Przy dokładniejszej analizie łatwo rozróżnimy tonacje, na jakie rozpada się całość. Więc przede wszystkim rozróżnimy tu poematy gładkie, okrągłe, pisane spokojnym aleksandrynicznym piórem. Są to poematy opisujące, stwierdzające rzeczy i sprawy widziane, zdeformowane oczywiście, przekształcone, ale zawsze jeszcze sprawdzalne, możliwe do skonfrontowania. I inne, te od których zaginęły klucze, hermetyczne. Autor zacierza ślady, zabiera wszystkie instrumenty, nie pozostawia nic, coby przypominało jego laboratorium. I trzecie wreszcie: kreacyjne, gdzie mamy powtórzone wizje, nierealne, niemożliwe.

Otwiera tom „Poemat opisowy“. Rytmiczną prozą spisuje poeta wspomnienia. Kojarzenia poetyckie są łagodne i spodziewane. Nawroty eligijne do wspomnień przychodzą ustawicznie. Poemat rozwija się i cofa

\*; Stefan Napierski: Elegie, F. Hoesick 1937. Fróby, tamże.

Refleksja nadchodzi po całym szeregu spiętrzonych obrazów. Trzy wiersze następne (Sąd ostateczny, Czyściec, Orfeusz) należą do owych wierszy kreacyjnych. W „Sądzie ostatecznym” i w „Orfeuszu” panuje aktualna dla pewnego gatunku poezji atmosfera Apokalipsy, klimat katastrofy. Dzieje się to przy jednoczesnej skłonności do mitotwórstwa, co wyraźnie występuje w poemacie „Rozmowa z cieniem”, gdzie znajdujemy pokazywany bagaż historiozofii, dawkomanej umiejętności, tak, że nie wynosimy wrażenia dydaktyzmu. W tym poemacie właśnie przebija łączność z Niemcami, a specjalnie uwydatnia się hieratyczność i patos George’a. Elegie na str. 38 i 59 to kapitalne przykłady skłonności ku romantyzmowi, ale ku romantyzmowi kameralnemu. Klasyczne dystychy, łagodne kadencje to cechy charakteryzujące elegie pozostałe.

Ale przechodzimy już do innych metod poetyckich, do innego gatunku przy lekturze np. takich wierszy jak „Przy świecy”. Tu już panuje magia, polegająca na łączeniu i rozłączaniu elementów, na zestawieniach dalekich pozornie. Nie jest to bynajmniej tuwimowskie bocus-pocus, to raczej odkrywanie własnego świata zachwyconemu czytelnikowi. I tu odnajdziemy powinowactwa z gatunkiem poetyckim Gotfrieda Benna. Jeszcze wymienię wiersze najpiękniejsze: W pustym Ispahanie, Pamiątki, Przodkowie.

Nie analizując nawet zbytnio twórczości Napierskiego, przy pobieżnym chociażby przereczeniu jego książek poetyckich, bo do poezji ograniczę się na razie, konstatujemy powtarzanie wyrazów, zdań, zestawień słownych. Są to przeważnie słowa: anioł, listki wszelkie określenia mrocznych barw np. rudość jesieni, szarość etc. Te powtórzenia płyną z atmosfery wspólnej wszystkim wierszom Napierskiego. Jeżeli notujemy to, wskazujemy tym jedynie na poetykę autora, jemu właściwą. (Nie sądzę, aby poeta winien być skoczkiem lub prestidigitatorem, od którego wymagamy coraz to nowych sztuk i zaklęć.) Np. obsesja słowa „anioł” wskazuje na to, że poeta ustalił swój mit i wyraża go na rozmaite sposoby. Jest to wirtuozeria kreatora, wykazanie swojej doskonałości.

Nad elegijnym tomem Napierskiego, nad klasyczną formą dystychu i nad przełamany rytmem innych wierszy unosi się rzadka dziś atmosfera inspiracji. W zestawieniu z aforyzmami autora o artyście staje się zrozumiałe, że Napierski jest naprawdę skazany na sztukę. I to na sztukę prawdziwą.

Cóż można powiedzieć o drugiej książce, o „Próbach”? Jest to książka bez precedensu w polskiej literaturze, jeśli nie liczyć podobnych dwu książek tegoż autora. Z oceny poprzednich, z opinii, z jaką spotkały się poprzednie, wynika, że jest to rodzaj literacki, który nie tak rychło przyjmie się u nas, podczas gdy na zachodzie jest już równouprawiony. Rozumiem zastrzeżenia, z jakimi spotyka się u nas ten rodzaj pisarstwa. Wynika to z osądzenia autora o dowolność, tak by przynajmniej mogło się wydawać. Dla patrzących bystrzej wynika to z niepewności kulturalnej czytelnika. Istnieje u nas obawa sugestii, choćby sugerowania rzeczy prawdziwych i wartościowych. Stąd niechęć do zdań umotywowanych nie na papierze, do zdań, które są wynikiem, konsekwencją rozmyślań.

„Próby” składają się z kilkudziesięciu stron uwag i skrótów. Zdania te dotyczą istoty i zagadnienia literatury oraz definiują pogląd autora na jej przedstawicieli. Jest rzeczą ciekawą, że autor, wyczuwając niewątpliwie swoją samotną postawę, swoje prekursorstwo, poświęca tyle uwagi osobie samotnego artysty. W szeregu miejsc demaskuje, zdziera przedwcześnie włożone koturny. Podkreśla samotność, jej rolę, przypisując samotności działanie twórcze („Dar słów z czegoż wynika, jeśli nie z zestroju żywiołów, ze spokojnej harmonii świata? z o p u s z c z e n i a”) Dociera Napierski do głębi, gdy mówi o współczesnych. Szereg uwag o Rilke, o Francuzach, i te najważniejsze, te które dotyczą i samego autora uwagi o Janie Cocteau. Dotyczą, mówię, do pewnego stopnia autora. Dotyczą tych wszystkich, którzy zdali się na sztukę najpiękniejszą, na sztukę bezcelową dla współczesnych, a tak owocną i bezcenną dla pokoleń następnych.

Z pozostałych uwag frapuje dłuższy ustęp o Kaczkowskim. Wreszcie wspomnijmy o trafności pozostałych uwag, by stwierdzić, że Napier-



ski to jeden z tych niewielu naprawdę widzących czy raczej wiedzących. Druga część książki to poematy prozą. Piękne, dekoracyjne pejzaże. Proza rytmizowana, muzyczność kadencyj, styl manieryczny, wymuszony może, jakże jednak harmonizujący z tekstem. Przy lekturze Napierskiego jest ustawiczne wrażenie nie-domówień, ukrywań—czytać trzeba pomiędzy wierszami. Najsilniej odczuwa się to przy czytaniu poematów prozą.

„Wydarzenia prawdziwe” to cykl próz, które mają wszystkie te cechy, wymienione przy omawianiu wierszy. Surrealizm dochodzi tu do głosu w pełni, niekrępowany klasyczną, elegijną, ulubioną przez autora formą wiersza, opisy autentyczne przemieszane z fantastyką, ale nie baśniową, tylko z fantastyką rzeczywistości. Wrażenie pogłębia jeszcze brak pointy. Oddzielne poematy to „Pałasz i pióro” „Melodia” i inn. „Pałasz i pióro” to znowu powroty w młodość, przebieranie się w młodzięnce kostiumy, wspomnienie przyjaźni owocneszej i dramatyczny wniosek, płynący z zestawień. Ten poemat jest może najpiękniejszy, najbardziej wzniosły, najmniej dekoracyjny—najszczerzy.

Powracam do pierwszych słów tego szkicu. Twórczość Napierskiego to monolog. Lub dialog, r o z m o w a z c i e n i e m, jeśli kto woli. Napierski jest z gatunku swej twórczości samotny. Współczesna generacja jest z gatunku swej kultury odseparowana od pewnych genre'ów artystycznych. I to nie dlatego, że nie może, tylko że nie chce, albo raczej nie uważa za stosowne wejść na drogę prawdziwą. Z tej racji nie może być mowy o wpływie książek Napierskiego na szersze sfery poetyckie.

Jest natomiast tych niewielu reprezentantów młodego pokolenia, widzących i wiedzących, świadomych swojej pracy artystycznej. Ci, którzy mają delikatniejszy naskórek i precyzyjne instrumenty pracy, poznają prawdziwego poetę i jego kulturalną doniosłość. Jest ich niewielu, powtarzam, ale łatwo oddzielią światło od ciemności.

PAWEŁ HERTZ

## TANIEC ŚMIERCI

SOKRATES

Kiedy Sokrates zbudził się w nocy przed wykonaniem wyroku, zielona gwiazda świeciła nad jego głową. Nie dostrzegł jej, bowiem leżał w pocie przedśmiertnym, pełen strachu przed nicością, która go czeka za chwilę. Wieczność promieniem zielonej gwiazdy trupio naznaczyła pomarszczone czoło starego człowieka i gorzko zabłysła w jego osłupiałych oczach. O kilka godzin istnienia, o prawo do świtu błagały sztywne, zdrętwiałe palce, szarpiąc szorstkie deski podłogi. Usta jeszcze wyznawały pobożną sprawiedliwość, lecz dobro i piękno, którymi świadomie gorszył ongi swoich uczniów, odstąpiły go na zawsze. I gdyby mógł był opuścić swą celę,—wszystko jedno—wyszedłby z niej umarły.

Świat, w którym było kiedyś miejsce na nieśmiertelność, świat tak pojemny, że ponadmysłowe zawierał, zacieśnił się pomiędzy ścianami celi, kurczył się coraz bardziej, zaciskał, aż potoczył się czarną kulą i uwiązał w oszalałym gardle Sokratesa. To była godzina, kiedy zaczął żyć na nowo:

W ogrodzie pachniały jaśminy. O świcie w ostrym powietrzu gładko pęczniały mięśnie i przesuwwały się pod blysz-

czącą od oliwy skórą. Chrześcijał żwir i wydzierał się gwałtownymi wyrzutami spod uciekającej stopy.

„I jakżebyśmy mogli powiedzieć, że nie jest piękne to, co jest piękne? I czyż nie lepiej by było—pamiętasz li, Hippiaszu?—nie odrywać piękna i każdego bytu i nie rżnąć na kawałki w rozważaniach?”

Teraz, kiedy się dusza z ciałem rozłączy, każde z nich zachowa stan sobie właściwy. Ułomne za życia ciało i po śmierci pozostanie kupą pokracznych brył, ale co pocznie dusza, wyzbyta dobra i piękna?

W tej samej chwili, gdy zwątpił, pobożność ze świstem wydychanego powietrza uszła z piersi Sokratesa.

I znów biegly coraz prędzej gładkie uda i stopy zrywały ziemię. Doskonała sprężystość maratończyka przyoblekła na chwilę opustoszałą duszę. A kiedy o świcie wniesiono do celi truciznę—Sokrates już nie żył. Cykuteę wypił kto inny.

### K R Y S P I N

Kryspin nie parał się czarną ani białą magią, nie uprawiał alchemii, o heretykach wyrażał się z pogardą, ale miał kiedyś nieszczęście powtórzyć — nie wiedząc o tym — zdanie Protagorasa:

— Bóg?—skrzywił się raz w rozmowie z Mateuszem — nic o Nim nie wiem, czy jest, czy Go nie ma. I rzecz sama niejasna i życie człowieka za krótkie, aby ją zbadać. Sztuka pewniejsza—dodał—a siena palona będzie zawsze sieną paloną.

Śmierć szerokim, gospodarskim zamachem kosy przecięła w pół bluźniercze zdanie. Gładkimi piszczelami pochyliła się naprzód, wpoprzek obrazu. Uśmiechała się przy tym skromnie i z dystynkcją.

— Nie boisz się jej, mistrzu?—zapytał Mateusz.

Pochylił się nisko i nabożnie wywodził cynobrem litery napisu.

—Nie myślę o śmierci—niedbale roześmiał się Kryspin — bowiem ja sam nią władam. Jest moją służką wierną — przyjdzie, kiedy ją wezwę. Ale wpierw dokonam tego, za czym tęsknią moje oczy i dłonie. Zali nie sądzisz, Mateuszu, że życie nasze jest tym pełniejsze, im mniej świadomością końca przeżycone? Spójrz, jak mocno, jak ogniście sączy się barwa ze znaków, które tu kreślisz. Łacniej, powiadam ci, pochwyci ją wzrok człowieka po wielu, wielu latach, niż tenor ogłoszonego przez nią pisma.

Mateusz pochylił się jeszcze niżej, kląkł prawie przed obrazem i ze zgrozą zaczął odczytywać:

Człowiecze Boże Stworzenie  
W ciele zdany na skażenie  
Czemu mniej dbasz o zbawienie  
W chwale wieczno Niebieskiej.

—Obrażasz, mistrzu, majestat śmierci — powiedział po chwili zdławionym głosem i przymknął oczy

—O ileż trudniejsze jest życie, niż twoja zbożna „ars moriendi“. Kościotrup w hełmie rycerza silniej ujął za dłoń staruszkę w czepcu. Biskup potrząsnął pastorałem i groźnie wyciągnął suchą kiść, a dworzanin skłonił przed Kryspinem trzeszczące żebra i zamiótł ziemię kapeluszem zdobnym w trefione pióra. Króla na obrazie jeszcze nie było, więc nie mógł pozdrowić Kryspina.

Kryspin chwycił Mateusza za ramiona i wstrząsnął nim ze zgrozą. Pod nawpół uchylonymi powiekami ucznia dojrzał blask stosu.

SEWERYN POLLAK

## DWA STOPNIE

(z „Pochodni Paryża“)

### I W ZIĘCIE BASTYLII

„14 juillet 1789—Riens“—Journal de Louis XVI

Saint-Antoine się burzy, drży Palais-Royal.  
Kamila Desmoulins wezwanie w uszach dzwoni.  
Gniew ludu rośnie wciąż jak piana morskiej toni.  
Strzelają. Dzwon na alarm. W dymie błyska stal.

Bastylia wzięta już. Wre triumf opętańczy.  
Na pikach głowy tkwią Berthier i Delauney.  
Zwycięzcy czyszczą plac i ku radości swej  
wśród gruzów wznoszą słupek z napisem:

„Dziś tu tańczym“.

A król poluje w lesie. Już przez godzin sześć.  
Psy na jelenia wpadły trop. Lecz przyszła wieść,  
że wybuchł bunt w Paryżu. Cóż z tego wynika?

Zepsuli łowy Po co? Gniew mu bije z lic.  
Zły położył się. Nie spał. Wpisał do dziennika  
te słowa tylko: „Czternastego lipca—nic“.

### II BONAPARTE

(10 sierpnia 1792)

„Je me manque deux  
batteries pour balayer  
toute cette canaille là“  
(Memuary Bourienne'a—  
Słowa Bonapartego)

Już król strącony Paryż—ognia lawa.  
Szwajcarzy w pień wycięci. Wściekły lud

tyranię ogniem i żelazem gniótł  
i Lafayette wyjęty jest spod prawa.

Marat w gorączce jak Gorgona krwawa.  
Gdzie Robespierre? Żyronda już u wrót.  
Przed Tuillerie jak szum spienionych wód  
Dantona wita dzika tłumy wrzawa.

A nieznajomy wśród skłębionych głów  
oficer z wzgardą patrzy się bez słów,  
jak tłum bezmyślny złości upust daje,

ten ryk natchniony mu nie idzie w smak,  
zły jest, że właśnie mu pod ręką brak  
baterii dwóch, by „wymieść całą zgraję“

## TERMIDOR

(z „Pochodni Paryża“)

### 1

Catherine Th ot ogarn ł duch proroczy  
We drzwiach jej go c—zasloni  si  po brwi.  
Rozbrzmiewa g os: „Ofiarnik g owny kroczy,  
w b ekiecie ca y przyjdzie  adać krwi.

Jak Moj esz tłumom b dzie on og szasz ł  
zwalczywszy  ywio ,  e istnieje Pan,  
i w otch a n wpadnie, zamknie bezde  sam...  
Witajcie wi c krwawego Mesyjasza.

Baranek burz! On zbawca jest i gniew  
i we mie tu na siebie ludu krew  
Pan jeden li kr lestwa, kr l w wa y!

 wiat ofiar chce i wielki gniew wci ż trwa.  
Kr l ci żki jest... I c ż wi c zr wnowa y  
 mier  jego?—O, Maksymilianie,—twa!“

### 2

Teroru pe nia. Pali g od i zn j.  
Schn  drzewa. Zwierz spragniony w w ciek o c wpada.  
W pop ochu konwent. Sob  nikt nie w lada,  
bo ka dy my li: Jutro koniec m j.

Na dob  stu si  traci. Wsz dzie szlochy.  
Zamar o miasto. Na przedmie ciach lud  
zarazy czeka. Na cmentarzach smr d  
od cia  straconych. Przepe nione lochy.

Dopóki los ostatnich nie rzekł słów,  
w Montmorency, gdzie czuwa Rousa duch,  
samotnie się przechadza z kwiatkiem w dłoni

ofiarnik główny—Mesjasz—Robespierre—  
ma uzasadnić, po co śmierci żer,  
szlifuje styl więc mowy w jej obronie.

3

W gorączce Paryż. Konwent kipi zły.  
Thirion wciąż dzwoni. Atak na Saint-Justa.  
Krew krzyczy w głos. Straceni mają usta.  
Umarli mszczą się. Mówią groby, łzy

I w krąg Lebas, Saint-Justa i Couthona  
wybucha gniew z wściekłością roju os.  
Wstał Robespierre. Chce próżno zabrać głos.  
Wokoło krzyk: „Krew dusi go Dantona!”

Los jeszcze ważył się i ważył czyn.  
Za nimi Paryż, lud i zgodność gmin —  
dość rzucić zew: Tytanów wstaną syny.

Odezwa jest. Podpisu tylko brak,  
lecz on odkłada pióro: będzie tak!  
Ofiarnik dojrzał już do gilotyny.

4

Przed gilotyną tłumy rozwścieczone.  
Szał karmanioli. Dziki ryk i płas.  
Ostatni raz majestatycznym tronem  
nad tłuszcza dźwignie ona krwawy pąs.

Już wiozą resztki hańby i teroru:  
Lebas zabity, a Couthon bez nóg...  
Na wzgardę li Saint-Just się zdobyć mógł.  
Ostatni wóz się toczy Termidoru.

A pośród nich kieruje dumnie ster  
na cmentarz chimer złych sam Robespierre.  
Przed gilotyną tłumy jak w świątyni,

na mszę ostatnią wzywa ludzi dzwon...  
Nabożnie niby z świętościami skrzynię  
na szafot głowę swoją dźwiga on.

MAKSYMILIAN WOŁOSZYN

Z rosyjskiego spolszczył Kazimierz Andrzej Jaworski

## KRONIKA SŁOWIAŃSKA

Staraniem Towarzystwa Przyjaciół Słowaków im. L. Sztura odbyła się w Warszawie w dniu 12 grudnia Uroczystość Słowacka. Odbyła się ona przy b. licznym udziale publiczności w sali Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego. Zagaił ją prezes Towarzystwa sen. F. Gwiźdz, wskazując na to, że sympatia Polaków dla Słowacji płynie nie tylko z podobieństwa kultur czy mowy, ale i głębokiej tradycji przekazywanej przez poprzednie pokolenia Polaków. Po odśpiewaniu przez chór słowackiego hymnu narodowego „Nad Tatrou sa blyska“ przemówił o wielkim budzieliu narodu słowackiego w XIX w. Ludowicie Szturze red. Heczko z Bratysławy, po czym postać Andrzeja Hlinki przedstawił zebrany sen. D. Zbierski. Z kolei Stefan Jaracz odczytał szereg utworów poezji słowackiej w polskim przekładzie. Recytowane były utwory Marcina Razusa, Jana Smreka, Andrzeja Żarnova, Maszy Halamowej, Laco Novomeskiego, Ivana Krasko, Bolesława Łukacza, w przekładach Antoniego Brosza, Feliksa Gwiźdz, Zdzisława Kempfa i K. A. Jaworskiego. Po recytacjach, chór odśpiewał kilka słowackich pieśni. Uroczystość zakończono odśpiewaniem słowackiego hymnu narodowego „Hej Slovaci”

\*

Jako pierwszy tom „Biblioteki Słowackiej“ ukazała się świeżo pierwsza część dzieła zbiorowego pod redakcją prof. dr. Wł. Semkowicza „Słowacja i Słowacy” (Kraków 1937). W przedmowie do dzieła uzasadnia główny jego inicjator i redaktor prof. Semkowicz potrzebę wydania tej książki. Była nią dążność do prawdziwego poznania Słowacji, jej życia i kultury, aby tą drogą pogłębić i utrwalić polsko-słowackie zblizenie. Pierwsza z rzędu rozprawa dr W. Olszewicza „Słowacja w literaturze polskiej“ zestawia nam pracowicie wszystkie głosy, wszystkie prace, rozprawy i przyczynki o Słowacji w piśmiennictwie polskim, udowadniając nam, jak wysoko stała znajomość spraw słowackich w Polsce w poprzednich okresach, jak głęboko interesowano się u nas słowackim życiem kulturalnym, politycznym, społecznym, jakich szczerych przyjaciół miała zawsze Słowacja wśród Polaków. Śród nazwisk pisarzy, których prace o Słowacji cechuje gruntowna i głęboka znajomość tematu, warto zanotować tu nazwiska Stanisława Staszica, Ludwika Zejsznera, Agatona Gillera, T. T. Jeża, Bronisława Grabowskiego, Aleksandra Świętochowskiego, Romana Zawilińskiego, niedawno zmarłego Leona Wasilewskiego i wielu innych. Praca dr Olszewicza ukazuje więc nam ciekawą a mało znaną kartkę z dziejów słowacko-polskich stosunków kulturalnych. Z kolei następną pracą, dra M. Gotkiewicza „Od Dunaju po Tatry“, to krajoznawczy przegląd Słowacji, w formie lekkiego opisu wędrowek wzdłuż najpiękniejszych szlaków tej malowniczej krainy. Cenna jest rozprawa dra Wł. Bobka „Lud Słowacki—Zarys etnograficzny“ zawierająca zasadnicze dane z kultury duchowej i materialnej ludu słowackiego. Całe dzieło jest obficie ilustrowane i od czasu dziś już zupełnie wyczerpanego i przestarzałego dzieła o Słowakach Romana Zawilińskiego stanowi podstawową pracę, z którą winni się zapoznać ci wszyscy, co się życiem słowackim interesują.

\*

Znana firma księgarska L. Mazacza w Pradze wydaje cykl przekładów z współczesnej literatury polskiej pod nazwą „Biblioteka Polska“ Dotychczas ukazały się w języku czeskim następujące książki: 1. Kaden-Bandrowski: Miasto mojej matki, 2. M. Dąbrowska: Ludzie stamtąd, 3. Z. Nowakowski: Przylądek Dobrej Nadziei, 4. M. Kuncewiczowa: Cudzoziemka, 5. Jan Karnik: Poezja wolnej Polski, 6. Z. Nałkowska: Granica, 7. W. Berent: Żywe kamienie, 8. J. Iwaszkiewicz: Panny z Wilka, 9. J. Parandowski: Dysk olimpijski i 10. P. Choynowski: W młodych oczach. Na uwagę zasługuje wytworna szata zewnętrzna tych książek. Nakład 3000 egzemplarzy każdego dzieła.

*Czas odnowić prenumeratę „Kamieny“ na 11 pòtr 2.50 gr*

ROK UBIEGŁY zakończył się dla literatury polskiej żałobnie. Leśmian, Strug i Uniłowski: trzy zgony, będące dla naszego piśmiennictwa bolesną stratą. Poeta pur sang, całym jestestwem swym tkwiący w żywiole poezji. Czołowy powieściopisarz, artysta wielkiej miary i nieskazitelny człowiek, ostatni spod znaku Żeromskiego pisarz-autorytet. I młody prozaik, świetny obserwator i znawca życia tzw. „nizin“, duży talent, który po pięknych zapowiedziach stworzył ostatnio rzecz artystycznie dojrzałą, rokującą autorowi, jak sądziliśmy wszyscy, jak najlepszą literacką przyszłość.

PSYCHOZA DEMASKOWANIA PLAGIATORÓW, o której tak ciekawie pisał L. Kruczkowski w styczniowym nrze „Sygnałów” („Społeczne aspekty plagiatu”), tym razem znalazła wyjątkowo brzydki wyraz w „odkryciu” prof. Stanisława Cywińskiego (Jak powstał „Pociąg” Daniłowskiego?”—„Kultura” № 1 (90)). Ton, w jakim p. Cywiński tu przemawia, a zwłaszcza konkluzja ostateczna—odstaniają zupełnie wyraźnie istotny cel tej publikacji. Zbieżność i pewne podobieństwo kilkunastu wyrwanych z tekstu zdań Daniłowskiego i jakiegoś Miersa z „Niwy” jeszcze nie nie dowodzi. Daniłowski mógł nawet z niego korzystać, jak Szekspir z wielu autorów, dość jednak, że o owym Miersie, jak sam Cywiński pisze, nic się nie wie, gdy „Pociąg” zajmuje w naszej nowelistyce jedną z czołowych pozycji. Zważywszy, że tym razem napaść jednego z demaskatorów „plagiatu” dotyczy zmarłego pisarza, który się bronić nie może, trudno się na nią oburzyć. Ale że „Kultura” to zamieściła...

„CZY WOLNO BIC?” zapytuje z głupia frant K. I. Gałczyński w swej „fantastycznym piórem” skreślonej „epistole” (zamieszczonej przez liberalnego redaktora w „Ateneum”), choć Piasecki w „Łomie żelaznym” i „mózgu” już tę sprawę w stosunku przynajmniej do Wasiutyńskiego negatywnie przesądził. Ale atmosfera, jaką stwarzają panowie Piasecki, Łaszowski et consortes w „Prosto z mostu” i innych merkuriuszach sprzyja powstawaniu takich incydentów, jak ostatnia „rycerska” napaść p. Z. Ipohorskiego (redaktora!) z trzema towarzyszami (sic!) na podstępnie zwabionego do kawiarni A. Słonimskiego. Za piękny i patriotyczny wiersz „Dwie ojczyzny” Panowie napastnicy dali najlepszy dowód, do której z tych dwóch ojczyzn należą. Lecz skoro nawet w stosunkach literackich ma zapanować dżungla, nie pozostaje nic innego, jak nosić stale przy sobie rewolwer.

NA POZIOMIE. „Jojne Parandowski” ach, jakież ten Staszko jest dowcipny! I nawet upiera się, że to „żart na poziomie” i kręci nosem na „mimozowatość” jakiegoś kulturalniejszego swego współpracownika, któremu się to nie podobało. Lej, koniku, lej...

UKAZAŁ SIĘ pod redakcją Stefana Napierskiego № 1 „Ateneum”, nowego dwumiesięcznika poświęconego sprawom kultury. Na interesującą treść pisma składają się artykuły L. Chwistka, L. Frydego, E. Małaniuka, J. Zagórskiego, J. Kotta, J. W. Gomulickiego, T. Brezy i S. Napierskiego. Poezję reprezentują W. Rolicz-Lieder, J. Przyboś, J. Czechowicz, A. Świrszczyńska, Cz. Miłosz, A. Sowiński, a z obcych Baudelaire (tłum. Cz. Miłosz), Apollinaire (tłum. J. Zagórski) i Gide (tłum. Z. Bieńkowski). Numer uzupełniają uwagi i sprawozdania. Wśród artykułów specjalnie ciekawa jest rzecz J. W. Gomulickiego o W. Rolicz-Liederze, będąca jakby uzupełnieniem wydanej w r. 1936 broszury Napierskiego o tym niesłusznie zapomnianym poecie. Zarówno nazwiska współpracowników „Ateneum”, jak i ich utwory świadczą o wartości nowego pisma. Oby zapoczątkowane tak pięknie i z takim rozmachem (170 str.) wydawnictwo nie musiało przetrwać swej egzystencji wskutek obojętności czytelników!

„WIADOMOŚCI LITERACKIE” popełniły przykrą gaffę umieszczając w numerze świątecznym fotografię A. Struga z wiadomością o jego śmierci tuż obok szczegółów o „reinkarnacjach” p. Grypsa. Względem techniczne powinny w tym wypadku ustąpić. Z ciekawością oczekujemy rehabilitacji w numerze poświęconym A. Strugowi.

TYMCZASEM Iwowski „Sygnały” już uprzedziły „Wiadomości”. Numer, który wyszedł w połowie stycznia, przeznaczony w całości na

artykuły, wspomnienia, wiersze i fotografie składają się na wartościową całość. Może tylko zgromadzony w numerze materiał dobrany jest zbyt jednostronnie: za mało nam mówi o Strugu-pisarzu.

OSTATNIE NUMERY (8 i 9) krakowskiego „Naszego Wyrazu” świadczą o ciągłym postępie sympatycznego periodyku. To już nie skromny miesięcznik „młodych” (choć określenie utrzymano), ale pismo na wyższym poziomie, dbające o swój rozwój i jednające sobie współpracowników wśród znanych piór literackich, że wymienimy tu np. Peipera czy Szemplińską. I poezję obcą „Nasz Wyraz” uwzględnia: w Nr 8 znalazły się przekłady J. Rogozińskiego z Reverdy’ego i Z. Bieńkowskiego z Eluarda. Nr 9 przynosi egzotykę w postaci tłumaczeń Z. Kempfa z poetów japońskich (ale chyba nie z japońskiego?). — kaj —

ZBIOROWE WYDANIE Pism Ludwika Stanisława Licińskiego, w jednym tomie, ukaże się — z upoważnienia rodziny zmarłego pisarza — pod redakcją Józefa Mondscheina. Na całość złożą się wszystkie wydane dotychczas oraz nieznanne prace znakomitego pisarza, a więc: „Z pamiętnika włóczęgi”, — „Halucynacje”, — „Dziwaczka”, — „Ona”, — „X. Jaskółski”, — „W cyrku”, — poza tym nieznanne wiersze poety, próby dramatyczne oraz wybór listów do przyjaciół. Wydanie nie obejmie tylko kilku prac Licińskiego z dziedziny etnografii. — X —

## ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

P. MIECZ. STR. w GRUDZIĄDZU. Wiersze surowe, ale świadczą o talencie. Najlepszy utwór poświęcony pamięci Rilkego, może zamieścimy później.

P. SEW. P. w WARSZAWIE. Dziękujemy za pamięć. Wiersze pójdą w jednym z następnych numerów.

P. A. IW. w WARSZAWIE. „Zdanie logiczne“ drukujemy w lutowym lub marcowym n-rze.

P. J. A. FR. w KRAKOWIE. Całkowicie podzielamy Pańskie oburzenie. Sprawę poruszymy w lutowym n-rze.

P. LEOP. L. w WARSZAWIE. Dziękujemy za Rilkego. W styczniowym n-rze już nie było miejsca. Zamieścimy któryś z wierszy w zeszycie następnym.

P. J. W. w ZDUŃSKIEJ-WOLI. Wiersze interesujące, ale zbyt przeładowane przenośniami. Najlepszy „Razem z Tobą“. Może zamieścimy, ale wolelibyśmy się zapoznać z większym wyborem.

P. J. PL. w LUBLINIE. Wiersz pójdzie. Przekłady z Tytyny słabe, innych nie możemy porównać z oryginałami, w czytaniu niektóre chropawe.

## NADEŚLANE

### POWSTANIE TOWARZYSTWA „MŁODY TEATR“

Dnia 4 stycznia r. b. powstało w Warszawie towarzystwo, pod nazwą „Młody Teatr“, poświęcone torowaniu dróg młodej twórczości teatralnej.



Ma ono na celu ożywienie repertuaru teatrów w zakresie współczesnej twórczości rodzimej oraz udostępnienie nowym autorom drogi do sceny. Motywem powstania towarzystwa stało się przeświadczenie, iż w obecnej organizacji teatrów, brak jest ogniwa pośredniczącego między sceną a młodą twórczością, jak również i to, że warunki, w których mogłoby się odbywać dojrzewanie nowych talentów, nie są wystarczające.

Towarzystwo wyłoniło stale funkcjonujący komitet lektury, powołany do wzięcia pod uwagę każdego nadesłanego utworu scenicznego. „Młody Teatr“ będzie wydawał biuletyn rozsyłany dyrekcjom teatrów, zwracający ich uwagę na sztuki, które zdaniem komitetu na to zasługują: tym samym „Młody Teatr“ będzie się starał utrzymywać kontakt z teatrami w Polsce. Nadto, w miarę uznania, komitet lektury będzie wchodził w bezpośredni kontakt z autorami nadsyłanych sztuk.

O ile spośród nadesłanych utworów znajdują się takie, które, wedle komitetu, będą się nadawały do wystawienia, „Młody Teatr“ będzie zabiegał o wprowadzenie ich na repertuar w Warszawie, bądź poza Warszawą.

Utworom posiadającym znamiona talentu, ale pod jakimkolwiek względem nie odpowiadającym postulatom normalnego repertuaru i tym samym mało mającym widoków dostania się na scenę, „Młody Teatr“ będzie się starał stworzyć dostęp do sceny na innej drodze. Do tego celu służyć będą specjalne pokazy, organizowane w związku i we współpracy z któryms z teatrów. Pokazy takie w razie potrzeby będą mogły być powtarzane.

Siedziba Towarzystwa mieści się w Warszawie przy ulicy Trębackiej 4 m. 4. Sekretariat Towarzystwa jest czynny codziennie (prócz niedziel i świąt) od 17 do 18. Autorzy zainteresowani mogą składać osobiście egzemplarze swoich sztuk lub też nadsyłać je pocztą, przy czym każdy utwór winien być opatrzone nazwiskiem, imieniem i dokładnym adresem autora. Sztuki nie nadające się zostaną autorom zwrócone.

Zarząd Towarzystwa „Młody Teatr“ a zarazem komitet lektury stanowią: Breza Tadeusz (sekretarz Towarzystwa), Hulewicz Jerzy, Lorentowicz Jan, Nałkowska Zofia, Szyfman Arnold, Wierzyński Kazimierz i Żeleński Tadeusz (Boy).

Warszawa, styczeń 1938.